

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

14-20 stycznia 2005 r.

NR 1 (22)

1. Z kart przeszłości – ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. Ze wspomnień – przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z dziejów Konina – artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. Tworzyli wizerunek miasta – sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. Naszym zdaniem – wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. Inspiracje kulturalne – poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z życia TPK – zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. Barwy codzienności – podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
9. Odpowiedzi redakcji
10. Oko w oko – konkursy ze znajomości miasta dla Czytelników
11. Inne – tematy inne niż wymienione powyżej

Mili, mądrzejsi ubiegłorocznymi doświadczeniami Czytelnicy

Jak wspaniale znaleź się po drugiej stronie kalendarza. Jesteśmy co prawda o rok starsi, ale wszystkie stare kłopoty za nami, i nic to, że Nowy Rok szykuje kłopoty nowe. Jest wszak wypróbowane polskie powiedzenie „jakoś tam będzie”. Ale my już wiemy, jak będzie w „Koninianach” w 2005 roku. Dla ścisłości – prawie wiemy, musi przecież być również miejsce na odrobinę improwizacji i szaleństwa. Przypominamy, że jesteśmy w permanentnym oczekiwaniu na Wasze propozycje, rady, uwagi, krytyki i wręcz artykuły, wspomnienia, refleksje etc. etc. „Koniniana” mają być nie tylko o Koninie, ale i dla koninian. I to byłoby tyle na początek dla porządku.

W pierwszym noworocznym wydaniu trochę o wyzwoleniu miasta, ale o wyzwoleniu widzianym z różnych perspektyw, co wykazują Janusz Gulczyński i Janek Sznajder. Gorąco zachęcam do przeczytania wywiadu z Szymonem Pawlickim, przeprowadzonym 13 grudnia ubie-

głego roku. W dniu, którego Szymek już nigdy nie zapomni. Włodek Kowalczykiewicz wspomina znów czasy szkolne oraz wizytę pewnego pana, którą docenił dopiero po latach. A owym Panem był sam prof. Infeld, współpracownik Einsteina. Ponieważ jest akurat karnawał, oczami nieodżałowanej Pani Wandy Popielńskiej popatrzmy jak i gdzie ongiś bawili się koninianie. Leszek Hejman przypomina Jerzego Mańkowskiego i jego książki o Koninie. To była nobilitacja dla miasta. Prawdziwy pisarz i prawdziwe książki. Zaś Paweł Hejman na ostatniej stronie przedstawia złołki z konińskich kościołów. Dla wszystkich, którzy z różnych powodów nie zdążyli ich obejrzeć, niepowtarzalna okazja.

Z noworocznymi pozdrowieniami

Stanisław Sroczyński

Ps. Artykuł o prof. Infeldzie jest pośrednim nawiązaniem do 100 rocznicy odkrycia prawa ogólnej teorii względności.

20 stycznia 1945 – data historyczna

O dniu 20 stycznia 1945 roku w Koninie – oswobodzeniu miasta spod okupacji niemieckiej przez Armię Czerwoną pisałem kilka lat temu. Obecnie, dostosowując ówczesny tekst do wymiaru „Koninianów”, przepisuję niektóre co ważniejsze – jak mi się wydaje, jego akapity.

Temat wyzwolenia Polski spod okupacji hitlerowskiej w 1944 i 1945 r. do dzisiaj budzi rozliczne kontrowersje, bynajmniej nie tylko wśród historyków, może przede wszystkim wśród polityków, czyniących ze sprawy drażliwej, dyskusyjnej i trudnej z wielu względów do w pełni obiektywnego rozeznania i przedstawiania, płaszczyzn różnorakich polemik i sporów.

Jak było np. z wyzwoleniem Konina w styczniu 1945 r.? Echa ogólnopolskich kontrowersji, które obecne były w publikacjach już dwa, trzy lata temu, dotarły z czasem niży rykoszet i do naszego miasta. Na powyższy temat wypowiadali się np. dziennikarze, politycy, nauczyciele. Starali się odpowiedzieć: co wydarzyło się 20 stycznia 1945 r. w Koninie?

Związki polityki z historią i vice versa, zawsze były obecne w działalności naukowej, a tym bardziej w różnych konfiguracjach i płaszczyznach szeroko rozumianego życia publicznego. Czym innym jest jednak posilkowanie się myśleniem politycznym w uprawianiu historii, a czym innym manipulowanie obrazem dziejów i podporządkowywanie historii jakiejś określonej linii czy opcji politycznej.

Wszystko to bardzo zawile i naprawdę trudno znaleźć w tym przedmiocie jakieś stałe i namacalne punkty odniesienia.

Nawet odwoływanie się w sposób najbardziej ścisły i rzeczowy do faktografii nie jest wolne od ewentualnego cienia manipulacji czy też pomówienia o jej uprawianie. Wszakże wybór z bogatej, wieloaspektowej i wielowątkowej faktografii takich, a nie innych wątków tematycznych, może zasługiwać na zarzut fałszowania historii, a przynajmniej na uwagę o nie w pełni obiektywnym jej odzwierciedleniu.

...Po pięciu z górą latach, od 14 września 1939 r., kiedy wojska niemieckie zajęły miasto, Konin był wolny; można powiedzieć trafniej: oswobodzony od okupacji niemieckiej. Zdobyty został niemalże w marszu przez oddziały Armii Czerwonej ze składu 8. Korpusu Zmechanizowanego gen. mjr. Iwana Dremowa. Krótkie starcie z wojskami niemieckimi zaistniało w rejonie tzw. Wilkowskiej Górki, potem Niemcy wycofali się, zdążywszy jeszcze wysadzić oba mosty na Warcie. Poległo w walce około 10 żołnierzy sowieckich. Byli zabici i ranni wśród ludności cywilnej Konina, aż około 20 osób. Dużemu zniszczeniu uległy budynki szkoły powszechnej przy ulicy Kolskiej oraz kościoł ewangelicki.

Na placu Wolności, przy zbiegu ulicy Zofii Urbanowskiej, śmiertelnie ranny został Aleksander Miłkowski, śpieszący z pomocą rannemu żołnierzowi radzieckiemu. Podobnie, od kuli snajpera, zabił został przed apteką Leon Ptak. O stratach niemieckich trudno cokolwiek powiedzieć.

Osobną i wielce zagadkową sprawą są okoliczności, w jakich zginęło 10 (?) osób na ulicy Kaliskiej. Ufundowana tam

Zapach wolności

W styczniu 1945 r. Konin stał się wolny. Fronty, jednostki armijne i kierunki natarć – wszystko uczestników – zostawiam historikom. Na peryferiach wydarzeń tamtych dni, brzemiennych wyzwoleniem naszego miasta blakają się w pamięci sprawy drugorzędne, czasem zatracające o groźność. Dans la guerre comme la guerre... Konin w tych dniach był wykorzystany. Zarządzeniem oszalanych ze strachu urzędników jeszcze władz niemieckich, okna domów winny mieć na szybach naklejone po przekątnych, papierowe paski. Na wypadki ewentualnych wybuchów, zabezpieczano to szyby przed wypadnięciem. Co z tego? - Eksplozja wysadzonego mostu żelaznego na zalewie Warty przez cofających się Niemców i tak pozabawiła wiele domów szub okien. Zakład szklarski pana Pachniańskiego zawalczczał Niemcom masę pracy.

Wybuch był straszny. Fragmenty żelaznej konstrukcji długo jeszcze leżały porozrzucane w promieniu kilkudziesięciu metrów, na pobliskich łakach. Prysłowiowa niemiecka dokładność na niewiele jednak się zdała. W powietrze wyleciało tylko środkowe przęsło mostu, który załamał się, tworząc jakby literę V. Dla pieszych nie stanowiło to przeszkody - położono deski żeby złągodzić ostry kąt zejścia. Gorzej było z pojazdami. Pierwszy czołg zatrzymał się przed przeszkodą. Rozkaz „Wpiero!” stał się czasowo niewykonalny. Zaczęły się narady, w wyniku których pierwszy czołg wjechał na zamarnięty zalew. Łód zerwał się i pojazd zarył się po gąsienicę. Trzeba było wezwać saperów. Postawiono pontonowy most i droga „na Berlin” stanęła otworem. Ten pontonowy most długo jeszcze stał na zalewie Warty w miejscu, gdzie dzisiaj dolepną do żelaznej konstrukcji biegnię trasa Poznań-Warszawa.

Dla Konina było już prawie po

wojnie. Ludzie wychodzili z domów. Kręciło się rosyjskie wojsko. Gdzieś harmoniska zawodziła „razwieciał jabłonu i gruszy...”. Podpici krasnoarmiejcy śnuli się po ulicach. Pejzaż absolutnego luzu... Na placu Wolności stacjonowali czołgisi. Czekali zapewne na rozkaz wyjazdu. Odjechali i tylko jeden czołg został na placu. Może dla ochrony komendy miasta, może załoga, zachłystnięta chwilą odpoczynku, zawieszyla się w krębach nieczystej Konina. Wrzeszcze przyszli. Piłanicy jak nieboskie stworzenia. Wdrapał się z trudem do środkaka. Po chwili z wieżyczki wychyliła się głowa w hełmie konie. Z wężu wyjrzał kłopot. Zrobił bum, podskoczył nico w górę i zarył się do połowy gąsienic w brukowaną jezdnię placu. Wypalił się do ena. Któryś z pijanych zaproszył ogień niedopałkami ognia. Trudno powiedzieć, co stało się z nieszczęśliwym czołgistami. Czekal ich chyba sąd polowy i rozwalka, a w najlepszym razie „sztrafny batalion”, co zresztą na jedno wychodziło.

Wypalony czołg stał na placu kilka lat. Dookoła unosił się zapach spalonej ropki i wypalonych blach. Tylko dzieciaki miały uciechę z zabawy w przedwzrostowym czołgu. Przechodząc obok Domu Zemelki. Zatrzymuję się w miejscu, gdzie pan Gilewski przeniósł swój sklep warzywny z ul. 3 Maja, na pl. Wolności. Tego sklepu już nie ma. Nie ma tego domu i nie ma pana Gilewskiego. Stoi w tym miejscu nowy dom... A ja wypatruję zagłębienia w jezdni, wywołują w myśli zapach spaleniowy i alkoholowy żołnierski chuch.

Jan Sznajder

w latach siedemdziesiątych, z inicjatywy ZBOWiD, tablica pamiątkowa mówi o ostatnich ofiarach hitleryzmu i podaje datę: 20 stycznia 1945 r. Nieznane są szczegóły tej sprawy. Nie słyszałem, aby doszło w tym miejscu do jakiejś publicznej egzekucji itp. Wręcz odwrotnie: zdarzało mi się słyszeć o tym, iż doszło w tym miejscu do przypadkowej, nieszczęśliwej eksplozji czołgu czy też transportera sowieckiego... Stąd zupełnie przypadkowe ofiary. – Tak jest z lokalną historią, drobnymi jej odstonami i szczegółami.

Dzień 20 stycznia jest niewątpliwie ważną cezurą w dziejach miasta. Pamięć o tym dniu, choćby poprzez tradycje i szacunek dla ofiar, na pewno jest wskazana.

Z drugiej jednak strony należy pamiętać, że wyzwalał ziemie polskie niedawny agresor. W ciągu przychytno-skutkowym obrazu dziejów należy mieć na uwadze pakt Ribbentrop-Molotow z 23 sierpnia 1939 r. i jego dalsze pochodne: przyspieszenie wybuchu wojny, agresję wojsk sowieckich na Polskę 17 września, tzw. IV rozbiór Polski i w dalszej konse-

kwencji: Katyń, wywózki na Sybir itd... Nie potrafię jednoznacznie ustosunkować się do pełnego, wielostronnego wymiaru dnia 20 stycznia. Przypomina mi się dla przykładu opowieść matki, która wywieziona na roboty do tzw. DWM w Poznaniu, oswobodzona została właśnie przez żołnierzy radzieckich. Sza piezo z bólem w sercu, okrężną drogą do Konina. Lży cisnęły się do oczu, kiedy zobaczyła w swoim rodzinnym mieście biało-czerwoną flagę na wieży ratusza.

Ale też i z drugiej strony można wskazać na zupełnie inne, diametralnie różne przykłady jednostkowych doświadczeń. Oto czytalem niedawno sybirackie wspomnienia, w których znalazł się między innymi tekst autorstwa Witolda Ignaczewskiego z Kola. Człowiek ten, właśnie owe go „pierwszego dnia wolności”, w wyniku niesprawzonej plotki został zatrzymany przez NKWD i następnie wywieziony w głąb ZSRR.

Myślę, że trzeba pamiętać o tym wszystkim, wspominając niewątpliwie historyczną datę 20 stycznia 1945.

Janusz Gulczyński

Ze wspomnień

Retman

Szymku – kiedy postanowiliśmy z Tobą porozmawiać o czasach młodości, uświadomiłem sobie, że jesteśmy już bardzo dojrzałymi panami – co Ty na to?

Dojrzałymi tak, ale ważne, że nie przeżyłymi. Ciągle mam jeszcze wiele planów, wciąż ciągnie mnie do działania. Zresztą Staszku, Ty też za bardzo spokojnie nie siedzisz na swojej emeryturze.

Po prostu kończę parę rzeczy, których nie zdążyłem zaliczyć do tej pory. Ale wracajmy do Ciebie – mam poważny dylemat od czego zacząć. Łatwiej byłoby mi napisać czego nie robiłeś, gdzie nie byłeś, kogo nie znałeś.

Jak widzisz starałem się, przegrywając, że kiedyś będziesz przeprowadzał ze mną wywiad.

No dobrze, jeżeli jesteś taki do bry w „przecuciach”, to zaczynajmy ab ovo. Twoje pierwsze pasje.

Oczywiście, że wodniactwo, dobrze o tym wiesz, bo sam pływałeś. Moja pierwsza łajba to poczciwy stary punt. Osiągi co prawda nie olimpijskie, ale był przynajmniej bezpieczny. Najważniejsze, że można nim było halsować po Warcie.

A wiesz, czego Ci bardziej zadośćciliśmy od łodzi?

Nie mam pojęcia, czy w ogóle było coś, czego można mi było zadośćcić.

Jasne, że było – para wspaniałych nowiutkich jeansów (wtedy nowe były jeszcze w modzie) z niezliczoną ilością kieszeni (pamiętasz czym były dla chłopaków kieszenie). To były pewno pierwsze takie portki w Koninie.

Ale przechodzimy do drugiej pasji.

Tak – myślisz pewnie o aktorstwie. Zaczęłem faktycznie dość wcześnie. To był ciekawy koniński kabaret pn. „Koiński ogon” w Powiatowym Domu Kultury. Udało się zgromadzić grupę wspaniałych, ciekawych, inteligentnych ludzi. Każdy spektakl szedł z pełną widownią. Robiliśmy sami dosłownie wszystko – od techniki do gry na scenie.

Wtedy zaczęła się również Twoja walka z cenzurą. Dość wcześnie zacząłeś grawitować w stronę opozycji.

Nie wiem czy była to bardziej świadomość, czy może zdrowy instynkt, ale ważne, że w końcu wyszło na moje.

Opowiedz może jeszcze o swo-

jej karierze aktorskiej, w jakich pracowałeś teatrach, jakie były ważniejsze role – podobno również filmowe.

Było tego bardzo dużo, dlatego zastępuje telegraficzny skrót. Gniezno – Tarnów – Częstochowa – Poznań – Szczecin – Bydgoszcz – Kraków – Gdańsk.

Zaś ulubiona rola to oczywiście postać Cyrano de Bergerac. „Po tamtej stronie świec” – ale to już w Teatrze Telewizji. Wiele spotkań w szkółkach, domach kultury, świetlicach etc.

Nie powiedziałeś o swoich ulubionych Norwidge, którego zresztą pięknie recytowałeś na moim pożytecznym spotkaniu w Hutniczym Domu Kultury. A kiedy przecięli się drogi – Solidarności i Twoja?

24 sierpnia 80-tyego roku zostałem delegatem Teatru Gdynińskiego do Międzypartowej Komisji Strajkowej w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, gdzie przywódcą był już Lech Wałęsa. Po zwycięstwie strajku zostałem członkiem Prezydium Komisji Krajowej odpowiedzialnym za sprawy kultury.

Mam do dzisiaj Twoją wizytówkę z napisem „doradca Lecha Wałęsy” – proszę, skomentuj to.

Stan wojenny – byłem jednym aktorem, członkiem ZASP-u przebywającym w więzieniu z aktem oskarżenia o nieodstąpienie od działalności po 13 grudnia.

Po wyjściu oczywiście konspiracja (druk, kolportaż, organizacja mszy za Ojczyznę. Jako ciekawostka również druk gazetki dla Konina).

Generalnie z swoją ekipą odebrał narodowi nadzieję budowania wolnej Ojczyzny. Szkoda tych straconych lat.

Najbardziej pamiętam z tych czasów, jak przywoleś mi do Hutnika Panią Annę Walentynowicz i z jakim szacunkiem oraz niekłamnym wzruszeniem patrzyli na nią ludzie z absolutnie różnych opcji politycznych.

Po okragłym stole budowałem Komitetu Obywatelskie. Udział w kampanii prezydenckiej. Wygrane wybory – praca w Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy.

To były piękne i porywające dni. Szymku – następna wizytówka to „Generalny Retman Bursztynowego Szlaku”.

Kłopoty ze zdrowiem (serce) zmusiły mnie do wypłynięcia na spokojniejszą wodę, stąd więc Liga Morska. Tutaj organizacja Pięciu Flisów Ogólnopolskich.

Wszystkie prowadzone przez konińskie wody, czyli jak widzisz powrót na stare wodniackie szlaki. Na powitanie Papieża, wspólnie z ośrodkami żeglarskimi Konina, zorganizowaliśmy regaty papieskie w Licheniu. Odmeldowało się 120 pływających jednostek – nie uważasz, że to imponujące.

Żałuję, że nie uległem Twoim namowom i nie popłynąłem z Wami. A w ogóle to bardzo zazdrościsz Ci tego domku nad jeziorem – pięknie tutaj. Czy kotwica zwisająca pod dachem świadczy, że już zakotwiczyłeś na stałe?

Niestety – w moim wieku pora już

odejrzeć się za siebie i sprawdzić ile chłopców marzeń udało się zrealizować.

Pamiętam harcerskie przyrzeczenie złożone w Greven (roboty przymusowe w Niemczech) – „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętnie pomoc bliźnim, być posłusznym prawu harcerskiemu”. Nie sądzę, abym się temu w życiu sprzeniewierzył. A w Ślesinie dlatego, że tutaj mieszkali moi pradziadkowie, tutaj urodziła się moja matka.

Szymku, serdecznie dziękuję, było mi bardzo miło, cieszę się, że mogłem Ci przypomnieć Czytelnikom „Koninianów”.

Stanisław Sroczyński

PS Kiedy 2 września 1980 roku odblokowano telefony w Polsce, zadzwoniłem do Ojca do Konina – on już wiedział, że zaplątałem się w te strajki – zawołał „Czy Ty wiesz, z jaką siłą walczysz; masz rodzinę, synów – czy wiesz, jak może się to skończyć?”. Pełen euforii zapytałem „Jak długo byłeś w dwudziestym roku w Kijowie?” Co się głupio pytasz – powiedział – przecież wiesz że osiemnaście godzin. „Tata, jak byś tam był do dzisiaj, nie musiałbym po Tobie poprawiać”.

Kiedy po półtora roku ja siedziałem w więzieniu, a Ojciec zmarł, nie puszczono mnie nawet na pogrzeb. Pomyślałem wtedy, jakie to szczęście, że mam dwóch synów i będzie miał kto po mnie poprawiać.

PS Powyższą rodzinną anegdotę 13 grudnia 2004 r. Szymon Pawlicki, aktor, polityk teraz zaś retman zakończył swoje wspomnienia.

St.S.

Jerzy Mańkowski, zapomniany piewca Konina

Zył tylko 51 lat, żył intensywnie. Podczas 30-letniej pracy twórczej napisał 8 powieści, kilkanaście opowiadań, recenzował sztuki teatralne, tworzył widowiska sceniczne. Po śmierci pisarza (1979) w styczniu 1980 roku ówczesna Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Koninie przeprowadziła konkurs czytelniczy na znajomość jego dwóch książek poświęconych Koninowi i Zagłębiu Węgla Brunatnego. Na pewno żyją jeszcze w mieście osoby, które znały autora osobiście, bowiem wiele dni spędzał u nas, rozmawiał z górnikami i budowniczymi elektrowni, poznawał ich radości i rozczarowania, awanse społeczne i dramaty ludzi zmuszonych do opuszczenia domostw i gospodarstw zamieszanych na wielkie doły odkrywek.

O pierwszej powieści, wydanej w 1969 roku, „Najpiękniej umiera gałąź”, co miało w tytule symbolizować umieranie drzew niszczonech czerpakami wielkich koparek, pisano w licznych recenzjach prasowych jako o lirycznym produkcyjniaku, dokumencie przemian społeczno-gospodarczych obszarów dotąd przemysłowo niekniętych, studium postaw człowieczych, epepeji węgla brunatnego. Tłem powieści są dzieje ziemi gwałtownie przebudzonej i losy ludzi, którzy z rolińskich przeobrażają się w chłopo-robotników i których dzieci wkrótce przestaną zajmować się uprawą roli, a potem awansują na techników i inżynierów. Główny, młody bohater Pie-



zdz. - archiwum

gus jest tak zafascynowany tym, w czym uczestniczy, że nie zdając sobie sprawy z zagrożenia kradnie izotop, czym doprowadza się do śmierci. Jego tragedie, opartą na fakcie autentycznym, uznał autor za wynik pozostałości zaoferowania w społeczności, która dopiero w nowoczesnym ośrodku przemysłowym uczyć się zaczęła nowej technologii, zdobywała wiedzę z techniki. Powieść wydano jeszcze trzykrotnie (1972, 1979, 1980). Jej autora

uhonorowano Nagrodą Literacką Centralnej Rady Związków Zawodowych oraz nagrodą „Złotej Księgi” w plebiscyście czytelniczym na najpoczytniejszą książkę pisarza środowiska poznańskiego (1969).

Druga powieść „Nie nauczyłem się od ziemi” ukazała się tylko raz w 1979 roku w Wydawnictwie Poznańskim i w całości poświęcona była dziejom kilku rodzin pochodzenia chłopskiego pracujących w kopalni węgla brunatnego. W utworze nie ma bohatera indywidualnego. Narracja obejmuje czasowy od okupacji niemieckiej na tym terenie przez drugą budowę wielkiego przemysłu. Autora zajmuje proces wrastania ludzi z biedniackich okolic Konina w nową rzeczywistość społeczną, kształtowanie się nowych zasad współżycia, podaje przykłady poświęcenia i zapal do pracy prostych ludzi, ale też ich potknięcia i konflikty, w jakie popadają.

Powieść należy do najlepszych utworów w dorobku Mańkowskiego, jest najbardziej osobistą, prawdziwą, bo opowiada o ludziach cierpiących, sko-

łatanych życiem, które ich zaskakują, ale daje też wyraz poczucia ich dumy z rezultatów wykonywanej pracy. Z powieści emanuje ciepło, prawdomówność, autentyczność, prawda zawarta w niepowtarzalności opisów indywidualnych postaci, w skrótowych obrazach dobrze kompozycyjnie zbudowanych. Z tej racji warta jest przeczytania przynajmniej przez tych koninian, którzy interesują się historią naszego regionu. Książkę można wypożyczyć w bibliotekach publicznych. Za utwór autor otrzymał drugą nagrodę w konkursie literackim na powieść o tematyce górniczej ogłoszonym przez Ministerstwo Górnictwa i CRZZ w 1978 roku. Dwa lata później pośmiertnie przyznano autorowi I nagrodę w poznańskim konkursie literackim na powieść o tematyce współczesnej.

O swojej twórczości Mańkowski pisał „starałem się przede wszystkim pokazać skomplikowaną ludzką psychikę, odczucie samotności, nieodwzajemnionej miłości, starość, tęsknotę za drugim człowiekiem. Pragnę przekazać w swoich powieściach niełatwy optymizm i trudną afirmację istnienia”.

Przypominając osobę pisarza redakcja „Koninianów” wyraża nadzieję, że znajdą się wśród mieszkańców Konina osoby, które zechcą na naszych łamach podzielić się swoją wiedzą o znajomości z autorem obu powieści.

Lech Hejman

Danuta Olczak

Gdy pada śnieg...

Zimo dobra bielą otul nas bo każda chwila przebudzenia czeka, z dawnych smutków oczyści naszą twarz
no mamy jechać, a droga daleka – napisał Czesław Miłosz.
Natomiast Konstanty Ildefons Gałczyński pozostawił nam słowa:
Śnieg był taki ciepły, taki biały, a noc mroźna z dzwonekami, z szafirem i szafiry i dzwonki wirowały...

Poezja daje się cudownie wkomponować w zimowy pejzaż. Powstało tysiące wierszy o tej porze roku. Ona jest szczególnie... Cicho pada śnieg. Choć trudno uwierzyć, ale każdy płatek śniegu jest inny. Może to nie przypadek. Może ten misterny płatek - dar mroźnego nieba, ma nam przypominać, że każdy z nas jest inny? Tak, różnimy się od siebie, ale wszyscy świadomie, czy nieświadomie idziemy do Boga, a raczej wracamy do Domu Ojca. Jaka jest prawda o tej wędrowce? Do mnie najbardziej przemawiają słowa Anselma Gruna: Droga do Boga wiedzie zawsze przez doświadczenie własnej niemocy. Doświadczenie Boga nie jest nigdy nagrodą za nasze własne wysiłki - lecz odpowiedzią na naszą niemoc, poddanie się Mu jest celem naszej drogi duchowej.

Zimowa biel budzi w nas cudowną ciszę, kładzie palec na usta wszystkim drzewom, przypomina coś, przypomina... Zimo dobra bielą otul nas.

Ze wspomnień

„Wizyta nieznanego Pana”

W jednym z rozdziałów książki Theo Richmonda pt. „Uporeczywe echo. Sztetl”, napotkałem fragmenty dotyczące budowy Gimnazjum Żydowskiego przy ulicy Wodnej. Po II wojnie światowej w budynkach znalazła lokalizację Szkoła Podstawowa nr 2 im. Marii Konopnickiej. Od początku lat sześćdziesiątych miałem zaszczyt być uczniem wspomnianej, dlatego niczym bumerang powróciły wspomnienia z lat dziecięcych.

Powodem wędrowki w przeszłość stała się tajemnicza osoba, z którą się wówczas zetknąłem. Nie mogę sobie przypomnieć, która z nauczycielek nas poinformowała, że następnego dnia nie odbędą się lekcje. Jednakże pełną radość zmaciła dalsza część informacji. Co prawda mieliśmy dzień wolny od nauki, lecz w zamian za to musieliśmy stawić się w szkole, ubrani „wizytowo”, punktualnie o godzinie ósmej. Pytając o powód, otrzymaliśmy zdawkową odpowiedź, brzmiącą następująco: „Jutro odwiedzi nasza szkołę jej przedwojenny dyrektor”. Kto miał przyjechać? Jak się nazywał? Odpowiedzi pozostawały tajemnicą.

W zakamarkach umysłu nie odnalazłem okoliczności, w jakich przekazałem rodzicom otrzymaną od nauczycielki wiadomość. Za to głęboko w pamięci utkwiła mi rozmowa przeprowadzona z tatą. Wiedząc z jego opowia-

dań, że przedwojenny Konin był małym miasteczkiem i w wszyscy w nim się znali - przynajmniej z widzenia, zapytałem tatę, czy pomni przedwojennego dyrektora mojej szkoły? Tata uśmiechnął się odpowiadając: - „Nie synu, nie znam. Nie pamiętam go również, gdyż dzieliła nas przynależność do innego kręgu kulturowego. Zrozumiesz powody, gdy lepiej poznasz życie. Pamiętaj jednak, że po tragedii, jaka spotkała ten Naród, odwiedzin tego Pana w waszej szkole, mają wielkie znaczenie”.

Wówczas w mojej głowie kołatały się myśli. O czym oni wszyscy mówią? Jaki naród? Z tym i wieloma innymi pytaniami w wieku lat dziesięciu pozostałem sam.

Nie pamiętam, jak ubrany poszedłem do szkoły. Na dziedzińcu szkolnym nauczyciele ustawiali nas „klasami”. Mając na uwadze „zagadkowe” słowa wypowiedziane przez moją tatę, uważnie obserwowałem swoich opiekunów. Widziałem w nich wrzaskające i udzielające się nam podeskietowanie. Trzosem kadry nauczycielskiej w mojej szkole byli pedagodzy mający staż nauczycielski sięgający lat przedwojennych. Właśnie to u nich zauważyłem największe wzruszenie. Tłumaczyłem to bardzo prozaicznie: - Zapewne pamiętają go sprzed wojny.

Przypomniałem sobie, jak na scho-

dach przed wejściem do budynku, woźny szkoły, pan Borkowski, z pomocą starszych ode mnie uczniów ustawiał godło państwowe. Na placu apelowym z akordeonem pojawił się również pan Niedźwiedzi. Wspomniany uczył muzyki i wychowania fizycznego. Z kartkami w ręce, polecenia wydawał pan Sroczyński, animator wszelkich uroczystości szkolnych.

Z podobną oprawą spotykałem się dotychczas tylko podczas rozpoczęcia oraz zakończenia roku szkolnego. Dlatego poczyniłem nauczycieli przyglądałem się z coraz większym zainteresowaniem. Na schodach prowadzących do gmachu szkolnego pojawiły się z kwiatami delegacje klas siódmych. Wśród komitetu powitalnego dostrzegłem zupełnie nieznane mi osoby.

Wreszcie ujrzałem oczekiwanego gościa. W asyście dyrektora szkoły, wraz z towarzyszącymi osobami, poszedł do delegacji szkolnej. Nauczyciel zagrał hymn państwowy. Starsze koleżanki wręczały kwiaty. Dotychczasowy przebieg uroczystości nie różnił się niczym od innych. Największe zdziwienie u mnie wywołały łzy w oczach moich nauczycieli. Wówczas nie mogłem zrozumieć, co takiego szczególnego było w osobie, witanej z takimi honorami?

Stojąc kamie wraz z kolegami w szeregu, coraz uważniej przyglądałem

się starszemu panu. Zarówno wygląd, jak i ubranie, niczym szczególnym nie wyróżniało go spośród towarzyszących mu mężczyzn. Nie przypominam sobie słów wypowiedzianych przy powitaniu przez dyrektora szkoły, pana Rybarskiego. Pamiętam, że po zakończeniu części oficjalnej nauczyciele polecieli nam się rozejść. Szczęśliwi z „wolnego”, zajęliśmy się „bardziej frapującymi” sprawami...

Od tamtego wydarzenia minęło wiele lat. W połowie lat siedemdziesiątych budynku szkoły, do której uczęszczałem, kolejny raz zmienił swoje przeznaczenie. Dopiero po latach, studiując historię Konina, dowiedziałem się, kim był ów tajemniczy gość przekraczający prógi mojej szkoły. Z radością stwierdziłem, że byłem, co prawda niemym, ale jednak świadkiem odwiedzenia szkoły przez Leopolda Infelda.

Leopold Infeld urodził się w 1898, zmarł w 1968. W latach 1922/24 był dyrektorem Gimnazjum Żydowskiego w Koninie. Z wykształcenia fizyk, ukończył Uniwersytet Jagielloński, ukończył na uniwersytetach w Toronto i Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1936-38 współpracował z Albertem Einsteinem. Autor książek popularnonaukowych: „Nowe drogi nauki”, „Kwanty i materia”, „Ewolucja fizyki”. Publicysta i pisarz, napisał

między innymi: „Wybrańcy bogów”, „Szkice z przeszłości”, „Kordian fizyka i Ja”.

Uzupełnieniem okazała się lektura książki Theo Richmonda. Wówczas naszym puzzle ułożyły się zebrane wiadomości. Zastanawiałem się, czy moi nauczyciele mogli znać osobieście Leopolda Infelda, gdy ten był dyrektorem gimnazjum? Przyglądając się datom urodzenia moich pedagogów, myślałem, że nie. Mając dziesięć czy czternaście lat nie za bardzo interesowali się dyrektorami innych szkół. Przeszkodą w znajomości była również przynależność do odmiennych wyznań religijnych. Przypuszczam, że serdeczność, z jaką go wówczas witali, wynikała z nostalgii za Koninem lat ich młodości. W jego osobie widzieli współmieszkańców miasta, tragicznie wydartych z jego historii. Po latach zrozumiałem, że łzy spływające po policzkach moich nauczycieli były wyrazem kondolencji złożonych na ręce Leopolda Infelda dla rodzin pomordowanych.

Leopold Infeld, jako dyrektor Gimnazjum przebywał w Koninie tylko dwa lata. Od autora książki dowiedziałem się, że wspomniany w 1924 roku opuścił Konin pełen wrogości dla władz miasta oraz stosunków tutaj panujących. Jednakże po latach zmienił swój pogląd, powracając we wspomnieniach do pobytu w mieście z pewnym sentymentem i nostalgią.

Czytając wspomnienia ludzi związanych z moim miastem, utwierdzam się w przekonaniu, że nikt, kto przebywał w Koninie, choćby chwilowo, nie pozostanie na jego piękno obojętnym.

Włodzimierz Kowalczykiewicz

Niegdysiejsze bale... według p. Wandy Popielińskiej

„...Były w Koninie piękne bale. Odbywały się przeważnie w dużej sali kina „Polonia”, którego właścicielem był p. Władysław Stasiński. Po obu stronach sali kinowej znajdowały się filary, pomiędzy którymi urządzano łozę. Wewnątrz nich paliły się kolorowe chińskie lampiony, a filary były oplecione bibułkowymi liściami i kwiatami kwitnącej jabłoni. Sala wyglądała słiznie.

Pamiętam bal maskowy, na którym wielkie zaciekawienie i zachwyt panów wzbudzała mała Japonczka, zgrabniutka i szczupluta w swoim pięknym kimonie oraz czarnej peruczce na głowie. Wyglądała jakby prosto przyjechała z kraju kwitnącej wiśni. Pano- wia ją oblegali. Co młodszy usiłowali w tańcu, całowali, ścisnęli. Starsi obcalowywali rączki. Budziła powszechną zazdrość wśród pań. Bomba pękła nieco później - ową Japonczkę okazał się dowiec, Antoś B. który z obawy aby nie oberwał od swych zawiedzionych wielbieli, prędko się z zabawy ulotnił.

Wspaniale prezentującą się maseczką był kostium pawia. Półwłosy, błyszcząca suknia, z długim trenem imitującym ogon, na którym mieniły się oryginalne prawdziwe piwne pióra, sprawiała niezapomniane wrażenie. Każdy z uczestników balu czekał na oznaczoną godzinę, kiedy przy

napęcznionych kielichach nadchodził moment zdjęcia maseczek. W pawiu zakończył się p. Czesław i już po kilku miesiącach założył ptaszkowi ślubną obrączkę.

Piękny był również bal bibułkowy na rzecz PCK. Zgodnie z prośbą komitetu balowego, panie winny być ubrane w stroje z bibułki. Zapamiętałam strój pani S. urodziwej acz nieco puszystej. Pani S. cała była owinięta bibułą koloru cygara. Na głowie miała wysoki turban, z takiej samej bibuły, zakończony bibułą jasnoczerwoną imitującą ogień cygara, od czubka którego unosiły się w tańcu kawałki szarej gazy, naśladowane dym. Pani S. była rozrywana w tańcu nie więdźwignego, że w którymś momencie padła zmęczona na krzesło. I tu nastąpiła rzecz nieprzewidziana - kostium pękł, a obfite kształty tancerki ujrzały światło dzienne.

Wspaniałymi tancerzami było wielu panów, ale w mojej opinii najlepszymi mazarystami byli pan P., rejent Sikorski i p. doktor Łopuski. Gdy na wywoskowanej podłodze, podczas mazura biedny doktor rąbnął jak długi na podłogę, i on i podłoga kęknęli. Usiadł, poglądził łysinę, wstał, poszedł zmienić kołnierzyk, wrócił w podskokach na salę z okrzykiem - panowie, mazurczek! a żywo! a para za parą! a kółeczko! a z życiem, panowie, a z życiem!...

Odbywały się również w Koninie bale i zabawy na różne cele dobroczynne. Wtedy komitet zabawowy zwracał się do okolicznych dworów o składanie datków, czy to na zasilenie bufetu, czy na loterię fantową. Fanty zbierano również po prywatnych domach. Loteria przynosiła niekiedy kłopotliwe niespodzianki. Ktoś np. wygrał koź lub prosiaka i ku uciesze chmary dzieciaków odprowadzał zwierzę na sznurku do domu.

Charakterystyczną postacią w Koninie był p. Władysław Niedźwiedzi. Miły, zawsze uśmiechnięty, lubiany przez młodzież. Zatrudniony był w Magistracie jako nocny stróż. Otóż p. Niedźwiedzi dbał o organizację zabaw na lodzie. Cała przestrzeń na wschód od miasta, poczynając od dzisiejszej ul. Grunwaldzkiej aż do Brzeźna i dalej, pokryta była lodem. Tuż za zabudowaniami miasta p. Władysław omiatał śnieg z lodu, ustawiał ławki, wieszaki na garderobę, czasami zapalał kolorowe lampiony. Przynosił na kręcaną na korbę gramofon, albo zamawiał harmonistę i zaczynała się zabawa. Oczywiście konieczne były żywy na których pary pisały się używając tańca. Obezni na żywiarstwo „holendrowali” po lodowej tafli. W tych zabawach brała udział przede wszystkim młodzież, ale i starsi nie stronili od milej rozrywki.

Takie to są te moje wspomnienia o balowaniu. Dziś jeszcze mimo strzykania w krzyżu i późnej starości, gdyby tylko wstał z grobu p. Józef K. z którym w karnawale przed wybuchem wojny tańczyłam mazura, kto wie czy nie ruszyłabym obocho z tany”...

Przypisy:

1. *Młodym czytelnikom należy wyjaśnić, że kino „Polonia”, miejsce opisywanych balów, mieściło się przy ul. Piwnej (obecnie Zofii Urbanowskiej) obok budynku poczty. Kino, po wojnie upaństwowione, nosiło nazwę „Górnika”. Dziś nie istnieje.*

2. *Pani Wanda Popielińska, koniniana od urodzenia, absolwentka konińskiego gimnazjum, ogólnie znana i szanowana, była żywą kroniką miasta. Od młodych lat do starości pracowała w Magistracie, czyli wg współczesnej nomenklatury w Urzędzie Miasta. Czynna w wielu stowarzyszeniach użyteczności publicznej, stanowiła skarbnicę anegdot, zakulisowych ploteczek, ważnych i mniej ważnych wydarzeń z życia Konina. Zgromadziła bogatą dokumentację historii miasta w postaci wycinków gazetowych, fotografii, listów itp.*

Drukowane wspomnienia z konińskich balów dotyczą okresu międzywojennego 20-lecia i są fragmentem większej całości wspomnień z czasów Jej

młodości. Zmarła w 1998 roku. Uczestnicy tamtych balów dawno już przenieśli się w zaświaty. Pozwól sobie wszystkim im zadeedykować fragment pięknego wiersza Leśmiana „W zakątku cmentarza”:

Mnich, co po to byt ziemski
tłumił bez szemrania,
By pędzić żywot wieczny w
sposób nienaganny -
Kreśli palcem na próchnie
list do pańny Anny
Z życzeniami rychłego w
kwiatkach - zmartwychwstania.

Panna Anna udaje, że jest -
w bezzałobie
I biorąc na kolana młodą
mgłę - pieszczochę -
Ukradkiem z pajęczyny tka
ziewną pończochę
Dla brzozy, co tkwi bosu na
kochanka grobie.

A opodal - mniej więcej
naprzeciw rozstaju,
We fraku bezrozumniem
skąsanym przez szczura,
Na czele kilku cieni żeńskiego
rodzaju
Nieboszczyk Madaleński -
prowadzi mazura.

**Opracowanie tekstu oraz przypisy
Jan Sznajder**

Konińskie szopki w obiektywie

Pawła Hejmana

Żłóbek lub szopka

Zwyczaj stawiania szopek w kościołach chrześcijańskich sięga czasów średniowiecznych. W polskiej tradycji zachował się po dzień dzisiejszy. Każda z szopek jest inna, ma różny wystrój, obudowę, zawiera większą lub mniejszą liczbę figurek, czasami wy-

myślną aranżację ich ustawienia i odpowiednie oświetlenie. W centralnym miejscu znajduje się postać małego dziecka leżąca w żłobie na sianie lub tylko na sianie. Obok stoją zafrapowani i poważni w pochylonych pozach jego rodzice: Maria i Józef. Wnę-

trze szopki uzupełniają figurki owiec, wołu, osiołka, a nad dachem świeci gwiazda i unoszą się aniołowie. Zwyczaj na obrzeżu szopki ustawiane są postaci trzech mędrców ubranych w stosowne stroje magów ze Wschodu.

W okresie poświęconym przy szopkach wystawiano jasełka, widowiska ludowe oparte na motywach narodzenia Jezusa, które z biegiem czasu tak bardzo kłóciły się z religijnym

charakterem miejsca i w treściach ulegały zeświecczeniu, że władze kościelne w XVIII wieku je zlikwidowały. Obrzęd przeniesiono na zewnątrz kościołów, najpierw zacy, a potem dzieci i młodzież miejska i wiejska urządziły wędrowki po domach z szopkami, z przebierańcami i figurami turonia, diabła, żyda, Heroda itp. Tego rodzaju zwyczaje nie są kultywowane w Koniinie, ba zniknął nawet fakt obchodze-

nia po kolacji wigilijnej mieszkań z szopką koledników, co jeszcze kilka lat temu miało miejsce.

Zaprezentowane zdjęcia szopek z konińskich kościołów pozwolą - co było zamiarem redakcji KONINIANY, na ich poznanie przez mieszkańców miasta, którzy związani ze swoją świątynią nie są zwykli oglądać szopki w innych kościołach.

L.H.



Kościół pw. Najświętszej Marii Panny Królowej Polski



Kościół pw. św. Wojciecha w Morzysławiu



Kościół pw. Miłosierdzia Bożego



Kościół pw. Marii Magdaleny przy klasztorze oo. Reformatów



Kościół pw. Maksymiliana Kolbe



Kościół Farny pw. św. Bartłomieja